LOKALNIE · #POLITYKA NARODOWA

POLITYKA PRORODZINNA WYMAGA OFIAR

Michał Ciesielski · 26 września 2026

Czasem decyzje i wydarzenia życiowe wydające się odległymi od decyzji prokreacyjnych mogą mieć dla nich fundamentalne znaczenie. Popularne próby sprowadzania problemu do dychotomii „kultura czy ekonomia?" nie przynoszą nam satysfakcjonujących wniosków. Często ci sami ludzie twierdzą, że całość przyczyn zawiera się w kategorii „kultura", jednocześnie powtarzając, że każde państwo, gdy się bogaci, przechodzi od wysokich do niskich poziomów dzietności. Warto również zauważyć, że to co nazywamy kulturą często jest po prostu utwierdzoną przez wiele lat ekonomią.

Istnieje szereg drobnych polityk publicznych, które moglibyśmy opatrzyć etykietą wspierania dzietności. Zmiany pojedynczych przepisów prawa, dodatki finansowe czy kolejne usługi publiczne na rzecz rodziców i dzieci, które pewnie mają potencjał zwiększenia skłonności do posiadania dzieci o niewielkie procenty. To wszystko rzeczy ważne, warte prowadzenia i spierania się o ich kształt. Nie uratują jednak naszej absolutnie kryzysowej sytuacji demograficznej.

I nie mówię tu o nierealnych, moim zdaniem, celach utrzymania liczby Polaków na stałym poziomie, ale nawet o uczynieniu jej spadku łagodnym na tyle, by uniknąć dramatycznym problemów związanych z funkcjonowaniem w realiach społeczeństwa zdominowanego liczebne przez starych ludzi.

Konieczność głębokich zmian

Decyzje skutkujące tym, ile dzieci rodzi się w kraju podejmowane są przez setki tysięcy rodzin każdego dnia. Często analizujemy najbardziej bezpośrednie czynniki, które na te decyzje wpływają, takie jak samo pragnienie posiadania dzieci, możliwości dyktowane zdrowiem i wiekiem, dochody czy wielkość mieszkania. W rzeczywistości, na tę najważniejszą decyzję wpływa całokształt tego co nazwalibyśmy stylem i sposobem życia. Długość odbierania nauki, historia przeprowadzania się do innego miasta, zaangażowanie w grupowe inicjatywy, religijność, miejsce pracy i wiele innych czynników, których nie wiązalibyśmy w pierwszym odruchu z tym, czy ktoś będzie miał dużo dzieci, mało czy żadnego.

Czasem decyzje i wydarzenia życiowe wydające się odległymi od decyzji prokreacyjnych mogą mieć dla nich fundamentalne znaczenie. Decyzja nastolatka o wybraniu ścieżki liceum-studia-praca zamiast technikum-praca lub szkoła branżowa-praca decyduje o tym, że wchodzi on w pełni na rynek pracy o kilka lat później. To z kolei powoduje późniejsze ustabilizowanie się jego sytuacji zawodowej w formie długotrwałego zatrudnienia, do czego potrzeba zwykle też kilku lat doświadczenia zawodowego. Bez stałego zatrudnienia z kolei mało kto decyduje się na posiadanie dzieci, nawet jeżeli tworzy udany, stały związek. W ten sposób decyzja podejmowana przez zupełnie niedorosłego człowieka, kończącego właśnie szkołę podstawową, może mieć istotny wpływ na to, kiedy założy on rodzinę, kiedy będzie miał pierwsze dziec-

ko, a w rezultacie często również, ile dzieci będzie miał finalnie. Ta decyzja podejmowana w wieku nastoletnim nie jest oczywiście ostateczna, ale ukierunkowuje ona dalsze losy na pewne tory, z których zawsze trudniej zejść niż na nich pozostać.

Popularne próby sprowadzania problemu do dychotomii „kultura czy ekonomia?" nie przynoszą nam satysfakcjonujących wniosków. Często ci sami ludzie twierdzą, że całość przyczyn zawiera się w kategorii „kultura", jednocześnie powtarzając, że każde państwo, gdy się bogaci, przechodzi od wysokich do niskich poziomów dzietności. Warto również zauważyć, że to co nazywamy kulturą często jest po prostu utwierdzoną przez wiele lat ekonomią. Strategie życiowe, które wystarczająco długo okazywały się zapewniać najbardziej dostatnie życie, stają się częścią podzielanych w danych społeczeństwie przekonań. Działanie człowieka wbrew nim staje się czymś wykraczającym poza normę społeczną, przynajmniej w obrębie odpowiedniej klasy czy grupy społecznej. Przykładem niech będą decyzje o ścieżce edukacji i kariery. Choć od wielu lat powtarza się, że osoby świadczące specjalistyczną pracę fizyczną zarabiają więcej niż absolwenci niejednego kierunku studiów, to wciąż nie widać *exodusu* potencjalnych studentów do wykonywania tych zawodów. Posiadanie dyplomu studiów wyższych przez długi czas otwierało faktycznie dużo lepsze możliwości zarabiania niż praca fizyczna, przez co stało się swoistą normą społeczną, by ten kto ma możliwość dostać się do szkoły wyższej korzystał z niej, a w szczególności, by rodzice, którzy mogą to zrobić posyłali swoje dorosłe dzieci na studia. Nie zrobienie tego odebrane byłoby w wielu kręgach za zaniedbanie, nawet jeśli dziecko realizowałoby inną, jasno określoną ścieżkę kariery, dziś bardziej perspektywiczną od masowych kierunków studiów.

Polityka prorodzinna musi boleć (niektórych)

> Świadomość kryzysu demograficznego i jego negatywnych skutków w ostatnich latach szybko rośnie. Znacznie wolniej zdobywają jednak popularność próby gruntownego przemodelowania życia gospodarczego i społecznego, by kryzys ten załagodzić. Wielu chciałoby, by państwo wspierało rodziny i heroicznie walczyło o kolejne urodzenia, byle tylko nikt, kto nie chce, nie ma lub ma już dorosłe dzieci na tym nie tracił, ani nie musiał w żaden sposób dostosować się do takiej prorodzinnej polityki.

Tak jakby jednostka żyła wyłącznie w relacji do państwa, a nie w całym społeczno-gospodarczym otoczeniu. Tak jakby przeszkodę na drodze do rodzicielstwa stanowiły wyłącznie zbyt wysokie podatki, zbyt niskie świadczenia czy za mało państwowych żłobków. Niestety, w tym przypadku potrzebne zmiany są, właściwie, cywilizacyjne i dotyczą całego społeczeństwa w wielu aspektach życia. Nie da się ich przeprowadzić w sposób niewidzialny dla niezaangażowanych w rodzicielstwo.

> Tymczasem, społeczeństwo, które rozumie wszechstronność problemu z niską dzietnością, uświadamia sobie jego konsekwencje i przyjmuje cel przeciwdziałania mu, musi być gotowe do podejmowania wyrzeczeń na rzecz odbicia negatywnego trendu. A skoro problem określiliśmy jako wszechstronny to i wyrzeczenia muszą przyjmować różny charakter i być częścią codziennego życia.

Odbudowanie dzietności musiałoby się odbyć poprzez powrót do normy społecznej, jaką było dla dorosłego człowieka – zaraz przy osiąganiu tej dorosłości – założenie rodziny i posiadanie od dwójki do czwórki dzieci. Jeśli w naszym wymarzonym scenariuszu określimy takie zachowanie jako normę społeczną, to przede wszystkim zachowanie wychodzące poza nią musi na powrót nosić znamię czegoś „nienormalnego". Oczywiście nie oznacza to, że każdy przypadek takiego zachowania ma być piętnowany – choćby z powodu rosnącej populacji ze zdrowotnymi problemami z płodnością – ale naturalnym powinno być, że dobrowolna bezdzietność i „singielstwo" to swego rodzaju dziwactwo, które powinno mieć swoje istotne powody, a nie jedna z kilku równie cenionych społecznie dróg życiowych.

Dzietność jako norma społeczna to nie tylko oczekiwanie wobec młodych ludzi, by co do zasady zakładali rodziny, ale również oczekiwanie od otoczenia, by stwarzało do tego odpowiednie warunki. Trud wychowania dzieci i radość z relacji z nimi zawsze pozostaną przede wszystkim udziałem samych rodziców, ale jeśli społeczeństwo ma stworzyć (umiarkowaną) presję na takie zachowania, to musi ułatwiać ich właściwe realizowanie. To niestety oznacza szereg mniejszych lub większych wyrzeczeń, jakie podejmować musieliby bezdzietni oraz rodzice dorosłych już dzieci, które ułatwią to zadanie młodszym, a tym samym uczynią decyzję o posiadaniu dzieci łatwiejszą do podjęcia. Nie da się odwrócić trendów demograficznych bez odwrócenia trendów stylu życia, a ten przecież utrzymuje się dzięki swej atrakcyjności.

> „It takes a village to raise a child"[1] mawiają słusznie anglosasi. Nie chodzi w tym przysłowiu jedynie o to, że w wychowanie dziecka wymaga zaangażowania wielu ludzi. Rozumiałbym je raczej tak, że do wychowania młodego człowieka potrzeba wioski, a więc gromady, wspólnoty, struktury społecznej, która po prostu wie, że rodzice i dzieci potrzebują wsparcia ze strony otoczenia.

Dziś jednak nie żyjemy we wioskach. Nawet mieszkańcy wsi coraz mniej żyją we wioskach, a coraz częściej zamieszkują tereny niezurbanizowane, żyjąc gdzieś zupełnie indziej – w innych strukturach społecznych, niezwiązanych z miejscem zamieszkania. Jeśli zaś coś może oddawać to nowe „miejsce", w którym dziś żyjemy jako całe społeczeństwo, to należałoby pewnie powiedzieć, że nie żyjemy już w wioskach, tylko na rynkach – na coraz rozleglejszym geograficznie i zawodowo rynku pracy, na coraz większym rynku mieszkaniowym, na globalnym rynku konsumpcji.

Do tych warunków urynkowienia kolejnych aspektów życia musimy dostosować nasz sposób dbania o dzietność, rodzinę i dzieci, jeśli chcemy ten aspekt uczynić faktycznie ważnym społecznie zagadnieniem. A powinniśmy chcieć, bo perspektywa bardzo szybko starzejącego się społeczeństwa rysuje się w czarnych barwach. Dlatego nie możemy polegać wyłącznie na oddolnych i osobistych przejawach wsparcia, charakterystycznych dla dawnych społeczeństw, zorganizowanych w lokalne społeczności. W nowoczesnym, masowym społeczeństwie musimy co najmniej uzupełniać je rozwiązaniami odnoszącymi się do masowych struktur, w których żyjemy.

Ile kosztuje dziecko?

Jednym z typów kosztów, które ogół społeczeństwa musi ponieść są koszty ekonomiczne. Teoretycznie,

powinniśmy być już przyzwyczajeni do ich ponoszenia, wszak od dziesięciu lat rodziny otrzymują wsparcie w ramach 500/800+. To jednak rzecz dla przeciętnego Kowalskiego, który nie wychowuje niepełnoletnich dzieci, raczej wirtualna. Owszem sąsiedzi dostają co miesiąc jakieś pieniądze, ale podatki wcale nie rosną ani nie zlikwidowano w zamian usług dla starszych czy samotnych osób.

> Programy kolejnych rządów są w coraz większej mierze finansowane deficytami budżetowymi i, na szczęście, strategia to póki co dość dobrze działa. Ponadto, programy typu 800+ zwiększają popyt na dobra i usługi, których wytwórcy szybko reagują zwiększoną produkcją (inaczej niż w przypadku mieszkań), więc dodatkowe środki nie miały dużego efektu inflacyjnego. Tym samym, 800+ czy dopłaty do żłobków/opiekunek nie są, przynajmniej w obecnej percepcji, czynione kosztem nie-rodziców.

Przykładem tego, że wspieranie jednej grupy społecznej czasem musi odbywać się kosztem innej niech będzie rynek mieszkaniowy. Programów kierowanych do młodych małżeństw, młodych rodziców czy młodych ludzi w nadziei, że zostaną rodzicami było w historii III RP chyba już kilkanaście. Część z nich zupełnie efemerycznych, jeden owiany spektakularnie złą sławą, a raczej żaden niezbyt skuteczny. Część problemu stanowi to, że politykom brak odwagi do zaprojektowania rozwiązań, które wesprą młodych rodziców kosztem pozostałych uczestników rynku.

> Miło jest mówić, że „wspiera się rodziny", ale trudniej powiedzieć, że na rynku mieszkaniowym – gdzie trudno o nagły skok podaży – wsparcie popytu jednej części konsumentów odbije się na cenach, płaconych przez wszystkich. Wszyscy zapłacą więcej, ale część dostanie dofinansowanie, które pokryje ten wzrost ceny z nadwyżką. Ostatecznie, o to w tych programach chodzi, by młode rodziny mogły kupić mieszkania taniej niż pozostali.

W politycznej rzeczywistości mamy jednak albo programy zbyt małe, by wesprzeć wiele rodzin i to w wydatny sposób – faktycznie ułatwiający kupno mieszkania – albo zaprojektowane tchórzliwie, tak aby obsłużyć grupę osób daleko wykraczającą poza faktycznych potencjalnych rodziców. To oczywiście przykład „Bezpiecznego kredytu 2%", który pomimo swoich wysokich kosztów fiskalnych (16 mld zł w 10 lat) i podbicia cen mieszkań, nie wpływa istotnie na dzietność, gdyż zabrakło w nim kryterium kierujących środki do obecnych lub potencjalnych rodziców. Zamiast tego oferowano dopłatę do kredytu dla wszystkich osób do 45 r.ż. (!) stosując jedynie kryterium nieposiadania dotychczas żadnego mieszkania. W efekcie, rodziny stanowiły wyraźną mniejszość wnioskodawców w porównaniu z wnioskami składanymi przez pojedynczych kredytobiorców[2].

Polityka mieszkaniowa wspierająca dzietność musiałaby postawić sprawę jasno – ograniczony zasób mieszkaniowy musi w pierwszej kolejności spełniać swój podstawowy cel, czyli zamieszkiwanie w nim, a nie być lokatą kapitału. Po drugie, ponieważ stabilność zamieszkania i własność nieruchomości stanowi istotny element poczucia bezpieczeństwa, sprzyjającego prokreacji, cel posiadania mieszkań przed młode pary/małżeństwa jest ważniejszy od celów inwestycyjnych, określanych jako kupowanie mieszkań

„dla dzieci", którym do dorosłości często brakuje jeszcze kilku czy kilkunastu lat.

> Dlatego zupełnie zrozumiałe i zgodne z duchem polityki pronatalistycznej są koncepcje ograniczenia popytu inwestycyjnego na tym rynku, np. przez podatki nakładane na posiadanie mieszkań, w których się samemu nie zamieszkuje, oraz zwiększanie siły nabywczej młodych małżeństw i rodziców.

Wolny wybór czy przetrwanie?

Drugim, może jeszcze trudniejszym do wprowadzenia jest ograniczenie tego, co dziś ludzie utożsamiają z wolnością wyboru stylu życia. Oczywiście przeplata się to, zgodnie z tym co pisałem we wstępnie, z gospodarczymi uwarunkowaniami, często tworzonymi przez państwo. Dwa kolejne przykłady – z rynku pracy i edukacji – byłyby właśnie tego typu działaniami.

Przyjrzyjmy się rynkowi pracy. Jest on szczególnie ważny i nie sposób traktować go jak rynek dowolnego produktu. Praca wyznacza codzienny rytm naszego dnia, wysokość płacy determinuje naszą stopę życiową, stabilność zatrudnienia wpływa na nasze życiowe plany, miejsce zatrudnienia implikuje ile czasu spędzamy poza domem, a stosunki międzyludzkie i obciążenie zadaniami służbowymi bardzo silnie wpływają na nasze ogólne zadowolenie z życia, zdrowie fizyczne czy poziom stresu i wydatnie przekładają się na inne relacje, zwłaszcza rodzinne.

Dodajmy do tego drugi istotny element – niemal każdy w tym rynku musi uczestniczyć. Nie można o nim powiedzieć, że jeśli komuś nie podoba się jak ten rynek wygląda, to może się z niego wypisać. W znakomitej większości przypadków którąś z dostępnych opcji pracownik musi wybrać, nawet jeśli powodowałaby ona duże szkody dla jego zdrowia czy rodziny. A opcji tych w niektórych regionach Polski wcale nie ma tak dużo, jak wydawać by się mogło z perspektywy dużych, rozwijających się miast.

Trzecia rzecz, to że rynek pracy jest właśnie rynkiem, a to oznacza, że konkurujące ze sobą podmioty wpływają wzajemnie na swoje decyzje. Pracownicy, którzy oferują na tym rynku swoją pracę, konkurują ze sobą, w tym sensie, że firmy wybierają spomiędzy nich tych, którzy przyniosą im największy zysk. I czasem to porównanie może polegać na tym, kto jest lepszym fachowcem albo bardziej wydajnie spędza czas w pracy, jednak częstokroć ta rywalizacja polega jedynie na tym, kto jest skłonny przepracować więcej godzin, kto oferuje swoją dyspozycyjność o dowolnej porze dnia i nocy albo wręcz kto zgadza się na łamanie prawa pracy. W ten sposób tworzą się standardy, od których spełniania zależy w ogóle znalezienie i utrzymanie pracy.

Na te trzy cechy rynku pracy musimy zwracać uwagę, gdy dyskutujemy o przestrzeganiu prawa pracy, np. w kontekście niedawnej dyskusji o Państwowej Inspekcji Pracy i umowach cywilno-prawnych, omijających kodeks pracy. Obrońcy dotychczasowego stanu rzeczy – państwa udającego, że nie widzi rzeszy pracowników, prowadzących fikcyjne działalności gospodarcze, powołują się na swobodę zawierania umów. Wszak pracodawca i pracownik dobrowolnie podpisują umowy b2b zamiast umowy o pracę i zapewne w wielu przypadkach możemy uznać, że faktycznie są to umowy dobrowolne, a nie podyktowane tym, że jedyną alternatywą jest zrezygnowanie z pracy. Jednak w wielu innych przypadkach tak nie jest,

szczególnie gdy dotyczy to młodych kobiet, szukających stabilnego zatrudnienia z ochroną miejsca pracy w przypadku zajścia w ciążę. Dziś w imię swobody umów – swoją drogą, opacznie rozumianej, bo umowy, o których mowa, wprost łamią prawo – zgadzamy się, by matki i potencjalne matki pchane były do konkurowania z ludźmi nieplanującymi dzieci, gdy ci drudzy mogą zrzec się np. zwolnienia chorobowego w ciąży. Wynik takiej konkurencji, ze strony firmy zatrudniającej wydaje się oczywisty, ale skutkiem społecznym jest mniej rodzin i mniej dzieci.

> Przywrócenie prorodzinnego stylu życia jako normy społecznej wymaga tego, by potencjalne matki nie musiały konkurować na rynku z tymi, którzy wolą nieco wyższą pensję netto kosztem stabilności i prawa pracy. Czy to ogranicza ich wolność do zawierania umów? Tak, ale w taki sposób społeczeństwo realizuje swoje wspólnotowe cele.

Późne dorastanie a aspiracje edukacyjne

W końcu, najdotkliwszy może cios, jaki zadać możemy błogostanowi społeczeństwa liberalnego stanowiłoby uderzenie w aspiracje związane z edukacją, często połączone z migracją do jednego z największych miast. To wręcz symbol sukcesu życiowego, dziś rozciągniętego na większość społeczeństwa, który jednak odbija się na zdolności do zakładania rodzin. Migracje do dużych miast, realizowane nierównomiernie przez kobiety i mężczyzn, utrudniają utrzymywanie stałych związków. Jedna rzecz to po prostu brak bliskości geograficznej, a druga to rozjeżdżanie się stylów życia i aspiracji obojga płci.

Podczas niedawnej konferencji o demografii w Sejmie[3], Piotr Głowacki prezentował konsekwencje dla poziomu dzietności, wynikające z coraz późniejszego wejścia w dorosłość młodszych pokoleń. Zgodnie z tym co pisałem wyżej, w dużej mierze powodem tego odroczonego dorastania są studia. Jak się okazuje w porównanie do pozostałych państw OECD Polska ma bardzo wysoki udział studentów studiów magisterskich i jeden z najniższych udziałów studentów na licencjacie. Do tego kilkanaście procent pracowników w naszej gospodarce pracuje poniżej swoich wyuczonych kwalifikacji, a ponad jedna trzecia w innym zawodzie niż wyuczony[4].

> Wnioskiem prelegenta było, iż kosztem zakładania rodzin poświęcamy czas na edukację, w dużej mierze niedającą faktycznych korzyści, a postulatem zmniejszenie liczby studiów realizowanych w formule 5-letniej, na rzecz dowartościowania średnich szkół zawodowych (branżowych) i krótszych, również zawodowych, studiów. To kolejna form wyrzeczenia, jakie ogół społeczeństwa mógłby ponieść na rzecz wspierania dzietności.

Nie ma to żadnych znamion przymuszania ludzi do wybierania rodzinnego czy wielodzietnego stylu życia, ale zmniejsza zachęty do stylu życia niesprzyjającego rodzicielstwu, szczególnie względnie wczesnemu a następnie wielokrotnemu. Co więcej, podzielam przekonanie, że wyrzeczenie to jest w dużej mierze pozorne, właśnie ze względu na niewielkie korzyści, jakie odnosi gospodarka i sami absolwenci z wielu rodzajów realizowanych dziś studiów. Utrudnienie tej ścieżki przy jednoczesnym wzmocnieniu ścieżek

nie mniej potrzebnych – a przy tym również dochodowych, ale dziś mało prestiżowych – urealni oczekiwania względem możliwości oraz pozwoli zdobywać praktyczne umiejętności znacznie wcześniej.

Ostatecznie, trudno też traktować tego typu działanie jako ograniczanie młodym ludziom swobody wyboru kariery czy odbieranie im prawa do wykształcenia. Mówimy tu o studiach publicznych, których bezpłatna dostępność zawsze jest w jakiś sposób ograniczona. Choć u nas dotyczy już ok. 3/5 wszystkich osób w wieku studenckim, to przecież bywało to znacznie mniej i mogłoby być nawet więcej. Nie ma progu dostępności studiów, który uznawać trzeba za realizację konstytucyjnego prawa do nauki.

> Państwo nie ma obowiązku oferować każdemu wyższych studiów na dowolnie wymarzonym przez niego kierunku. Raczej polityka w zakresie szkolnictwa wyższego powinna odpowiadać na potrzeby społeczeństwa, a potrzeby te zdają się nie wymagać nawet obecnej liczby magistrów.

Potrzeba niepopularnych działań

Kryzys demograficzny osiąga skalę, która domaga się radykalnych środków. Tworzenie zdrowych, szczęśliwych rodzin zawsze było najważniejszym zadaniem społecznym szerokich mas, jednak teraz staje się coraz istotniejsze nie tylko dla indywidualnego, ale też zbiorowego życia. Państwo, będące instrumentem realizacji interesów i potrzeb wspólnoty narodowej, musi zacząć traktować ten problem poważnie, formatując nasze życie społeczne na bardziej prorodzinne i skłaniające do zakładania (dużych) rodzin.

> W tym celu konieczne będzie przyjęcie środków, które nie będą popularne wśród pozostałej części społeczeństwa
> i będą musiały wiązać się z dostosowaniem się przez nie do pewnych norm społecznych
> i ponoszeniem kosztów wspierania rodzin.

Być może to przedstawione wyżej przykłady, takie jak faktyczne podporządkowanie swobody umów prorodzinnym standardom rynku pracy czy też utrudnienie dostępu do studiów i tym samym atak na marzenia o nieograniczonych możliwościach, stanowią najmocniejszy atak na liberalne społeczeństwo. Dotykają one dość podstawowych elementów stylu życia, ograniczając indywidualne wybory dla celów społecznych, a dokładniej dla samego celu przetrwania naszego społeczeństwa jako narodu. Pozostaje mieć nadzieję, że znajdą się odważni politycy, potrafiący takie bolesne zmiany wprowadzać.

Skróty, tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji portalu.

---

[1] Tłum.: „potrzeba całej wioski, by wychować dziecko”.

[2] Nikodem Bernaciak, *Bezpieczny Kredyt 2% – wsparcie dla deweloperów i singli zamiast pomocy dla młodych małżeństw i zwiększenia dzietności*,

https://ordoiuris.pl/komentarz/bezpieczny-kredyt-2-wsparcie-dla-deweloperow-i-singli-zamiast-pomocy-dla-mlodych-malzenstw-i-zwiekszenia-dzietnosci/, dostęp: 20.04.2026.

[3] Konferencja programowa „Polityka demograficzna dziś i jutro" organizowana przez wicemarszałka Krzysztofa Bosaka 19.03.2026 r. Nagranie dostępne na stronie Sejmu RP.

[4] Prym wiedzie tutaj kategoria „Nauki społeczne, biznes i prawo", wśród której absolwentów aż 81,2% pracuje poza obszarem swojego wykształcenia.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=7hLtj-HfxfU

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/polityka-prorodzinna-wymaga-ofiar/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć